



MARCIN
ZAJDLER

ANARA

ZAGŁADA

Marcin Zajdler

Anara. Zagłada

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Marcin Zajdler
„Anara. Zagłada”

Copyright © by Marcin Zajdler, 2018
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadzący: Renata Grześkowiak
Korekta: Autor zrezygnował z korekty profesjonalnej
Projekt okładki: Jakub Kleczkowski
Skład epub, mobi i pdf: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-304-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Dla żony Agaty – na początek wspólnej drogi życia.

Spis treści

Pan Ognia	6
Yormudhal	21
Na czterech łapach	39
Pożegnanie	63
Nadciąga burza	102
Szermierka	139
Kamienie dusz	175
Sha'el	223
Anara	254
Przyjaciół czy wróg?	275
Ar-khan nadciąga!	301
W potrzasku	337
Nowe życie	354

Pan Ognia

Ar-khan – królestwo, którego nazwę wielu wymawiało ze zgrozą, w niczym nie przypominało siedliska zła. Główne miasto Imperium wbrew powszechnej opinii tętniło życiem. Olbrzymie, pełne przepychu posiadłości najwyższych rangą kapłanów, sąsiadując ze sobą, zajmowały obszar wielu hektarów. Pomiedzy nimi osadzone były mniejsze domostwa, które należały do najwierniejszych sług. Wszystkie budowle tworzyły ogromny okrąg o promieniu kilkunastu kilometrów, w którego centrum znajdowała się szkarłatna świątynia. To właśnie w niej dwieście lat temu osiedliła się potęga, przed którą ugiął się cały świat. Przypadkowy obserwator, zachwycony jej pięknem i ogromem, byłby bardzo zdziwiony i przerażony, odkrywszy, jakie czai się w niej zło. Ar-khan, pomimo lęku, jaki budził, nie posiadał żadnych murów czy bram. Na ulicach nie można było spotkać strażników pilnujących porządku i zapewniających miastu bezpieczeństwo, bo po prostu nie byli potrzebni. Najwyżsi rangą kapłani stanowili tu prawo, a im nikt nie odważył się sprzeciwić. Każde przewinienie kończyło się surową karą, którą nierzadko była śmierć.

Miasto dzieliło się na dwie strefy – bogatą i biedną. Biedniejsza i o wiele większa część znajdowała się na zewnątrz. Należała ona do zwykłych śmiertelników, wiernych i poddanych Ar-khanowi, którzy, mogłoby się wydawać, wiedli normalne życie, oddani swoim codziennym czynnościom i profesjom.

Jedynie widoczny w ich oczach strach zdradzał, jak wielką przeżywają tu trwogę...

* * *

Balmor splunął ze złością, oparty o balustradę na balkonie swego pałacu. Nienawidził tej sielankowej otoczki. Minął miesiąc od bitwy o Antares i od tamtej pory nie miał nic ciekawego do roboty. Siedział bezczynnie pośród wszystkich tych bogactw i czekał. Pan Ognia nie przemówił do niego. Dlaczego wciąż milczał? Jako jego najwierniejszy ludzki sługa chyba miał prawo wiedzieć, jakie są ich dalsze cele i plany? Znudzony nie mógł się już doczekać kolejnej walki. Kochał chaos i zniszczenie. Nie potrzebował bogactw do szczęścia. Wystarczył mu miecz i rzesza plugawych pogan, czekających na rozgrzeszenie.

Uderzył pięścią o pozłocaną poręcz i obrócił się gwałtownie, słysząc dźwięk zbliżających się kroków. Machinalnie sięgnął ręką do zawieszzonego u pasa miecza, choć przecież nikt nie mógł mu tu zagrozić. Zmrużył oczy i zaklął cicho, rozpoznawszy już z daleka postać kobiety. Sam jej widok irytował go na tyle, że z trudem powstrzymywał się przed wyciągnięciem broni. Przeklęta Rie. Dlaczego nasz Pan wybrał ją na kapłankę? Była słaba, niezdarna. Już sama jej płęć powinna ją eliminować.

– Eminencjo – wydyszała, kłaniając się nisko. Burza kruczoczarnych, roztarganych włosów opadła jej na twarz.

Balmor skrzywił się, mierząc krytycznym wzrokiem jej wyświechtaną, szkarłatną szatę.

– Jak ty wyglądasz?! Przynosisz hańbę randze kapłanów! –

warknął, unosząc w górę otwartą dłoń. – Gdyby to ode mnie zależało, wysłałbym cię do obory, w której cię znaleziono.

Rie cofnęła się lekko, patrząc na starca parą wystraszonych, kasztanowych oczu. Jak na kapłankę była bardzo młoda i całkiem ładna, co jeszcze bardziej irytowało Balmora.

– Przynoszę pilną wiadomość od naszego Pana – wydyszała szybko, spuściwszy wzrok.

Starzec zmarszczył czoło, myśląc, że się przesłyszał.

– Coś ty powiedziała? Jestem jedynym łącznikiem z naszym Panem. Co to ma niby znaczyć, że przynosisz od niego wiadomość?!

– Pan Ognia przemówił do mnie. Powiedział, że masz natychmiast udać się do jego świata. Czeka na ciebie, Panie.

Balmor otworzył usta, ale słowa uwięzły mu w gardle. Poczował wściekłość. Wiadomość była tak nedorzeczna, że nie mógł w nią uwierzyć. Czy ona śmie sobie z niego żartować? Jeśli tak, to gorzko tego pożałuje. Jako najwyższy rangą kapłan on jeden miał zaszczyt rozmawiania z Panem Ognia. Jak to możliwe, że zamiast przemówić do niego, wysłała pośrednika? W dodatku Rie. To tak, jakby przemówił do psa i jemu kazał przekazać wiadomość.

Spojrzał na nią z wściekłością. Ręce mu zadrżały i z trudem powstrzymał się przed chęcią zrobienia jej krzywdy.

– Łżesz! Wynoś się stąd!

Kapłanka nie ruszyła się z miejsca, ale jej kolana trzęsły się ze strachu.

– On nie kazał ci zwlekać. Był bardzo zły.

– Dość tego! – ręka starca świsnęła w powietrzu i z trzaskiem

uderzyła kobietę w twarz. – Słyszałaś, co powiedziałem?!

Jego ręka powędrowała do rękojeści miecza. Ścisnął ją mocno, lecz nie zdołał wyciągnąć. Syknął cicho, kiedy promieniujący ból przeszył jego dłoń. Co się, do cholery, dzieje? Dlaczego broń, którą nosił od wieków, nagle zaczęła parzyć?

Rzucił jeszcze jedno nienawistne spojrzenie na kobietę i zamyślił się. A co jeśli ta idiotka mówiła prawdę? Wolał nie narażać się na gniew Pana. Dlaczego jednak nie przemówił do niego osobiście, przecież dla niego nie stanowiło to najmniejszego problemu. W dodatku chciał, żeby udał się do jego świata, tylko po co? Żaden człowiek nigdy nie odwiedził tego miejsca, choć każdy w Ar-khanie wiedział, jak do niego dotrzeć. Bez pozwolenia jednak próba przejścia przez portal prawie na pewno kończyłaby się śmiercią.

Wpatrzył się w poparzoną skórę na swojej dłoni. To był jedyny dowód, lecz musiał wystarczyć.

– Jeśli to co powiedziałaś okaże się kłamstwem, spotka cię śmierć i dopilnuję, by była powolna i bolesna.

Popchnął ją i ruszył pędem przez pusty korytarz.

* * *

Szkarłatna świątynia była niezwykłym tworem. W niczym nie przypominała zwyczajnych budowli, a samo jej powstanie stanowiło wielką zagadkę. Nawet kapłani nie znali prawdy. Mówiono, że to sam bóg wzniósł tę niesamowitą konstrukcję i rzeczywiście nie wyglądała ona na dzieło ludzkich rąk. Podstawa świątyni była w kształcie półokręgu, z którego pięto

się ku górze pięć nieregularnych wież. Przypominały długie, wijące się języki ognia o ostrych krawędziach i spiczastych wierzchołkach. Centralna wieża znacznie przewyższała pozostałe, a jej powierzchnia była w barwie krwi.

Balmor zmarszczył czoło, wlepiwszy parę swoich mrocznych oczu, w rosnącą przed nim budowlę. Dom jego Pana, niczym zastygły w czasie ogień, fascynował go i przerażał. Kiedy wspiął się na szczyt schodów i stanął w wejściu, poczuł na twarzy ciepły powiew. To ściany świątyni tliły się niemal niezauważalnie, a bijące od nich słabe światło, rzucało długie, upiorne cienie. Rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu, choć wyczułone zmysły momentalnie powiedziały mu, że nie jest sam. O każdej porze dnia i nocy można było spotkać tutaj grupkę modlących się osób. Tym razem było podobnie. Dwóch kapłanów i kilkunastu akolitów klęczało na ustawionych w łuku kamiennych, niewygodnych klęcznikach i mamrocząc, kłaniało się nisko, za każdym razem dotykając dłońmi gorącej posadzki.

Balmor uśmiechnął się lekko. Grymasy bólu widoczne na twarzach jego podwładnych, sprawiały mu satysfakcję. Kiedy zbliżył się do nich, modlitwy momentalnie ustały. Kilka osób spojrzało na niego wystraszonym wzrokiem. Nie zwracał na to uwagi. Minął ich bez słowa, po raz pierwszy czując lęk. W świątyni, prócz klęczników, nie było żadnych rytualnych przedmiotów, obrazów czy posągów przedstawiających ich Pana. Nie było nawet ołtarza, na którym można by przeprowadzać obrzędy. Zamiast tego w samym centrum, wypełniając owalne zagłębienie w posadzce, widniał portal.

Balmor nie odrywał wzroku od powierzchni wrzącej lawy. Ten portal w niczym nie przypominał ziemskiego zwierciadła,

prowadzącego do ich świata. Ten portal zabijał każdego, kto odważył się w niego wejść.

Przeklęta Rie, jeśli jej słowa były kłamstwem, nawet nie będę miał możliwości się nad nią poznęcać, pomyślał, dotknąwszy stopą kamiennych schodów, które prowadziły w dół do portalu. Dziesięć stopni dzieliło go od przeznaczenia i możliwe, że pewnej śmierci. Czy Pan wystawiał na próbę jego wiarę? Jeśli tak, to się nie zawiedzie. Położył dłoń na rękojeści miecza, która wciąż parzyła, a jego wzrok wędrował po zakrwawionych schodach. Nie brakowało śmiazków, którzy odważali się dotknąć portalu, licząc na to, że bóg zaprosi ich do swego królestwa. Nikomu się nie udało. Żaden śmiertelnik nie otrzymał zaproszenia.

Czy tym razem miało być inaczej? Był już krok od dotknięcia stopą portalu, kiedy za jego plecami rozległ się głos.

– Mistrzu! – zawołał jeden z modlących się wcześniej kapłanów.

Balmor zatrzymał się, ale nie odwrócił.

– Mistrzu – powtórzył, drżącym głosem. – Nie opuszczaj nas! Rzucił okiem na zbliżającą się postać i poczuł złość.

– Nie podchodź!

Mężczyzna zatrzymał się i skłonił nisko. Posłuszeństwo wobec woli i rozkazów arcykapłana było najważniejsze. Nikt nie mógł mu się sprzeciwić.

– Pan wzywa mnie do siebie. Będę miał zaszczyt spotkać się z nim i porozmawiać – odparł, patrząc drwiąco na wystraszone miny zgromadzonych mężczyzn.

– Ale... – zaczął niepewnie kapłan. – Jeśli coś poszłoby nie

tak...

Starzec zmarszczył groźnie brwi.

– Od kapłanów wymagam większej wiary i odwagi, Mahirze. Postaraj się nie zhańbić naszej rangi, która ostatnio mocno ucierpiała... – westchnął, mając przed oczami wizerunek tej przeklętej Rie. – Jeśli rzeczywiście coś poszłoby nie tak, to dopilnujcie, by kobieta, która wkradła się w nasze szeregi, ponownie wpadła do szamba, z którego wypłynęła.

Zdumiony Mahir wytrzeszczył oczy.

– Co tylko rozkażesz, Panie, ale...

– A mnie nawet śmierć nie powstrzyma przed zemstą. – powiedział, nie słuchając jego słów.

Odwrócił się w kierunku portalu i dotknął stopą rozpalonej powierzchni. Spodziewał się niewyobrażalnego bólu, lecz lava tylko delikatnie zapiekła w skórę. Języki ognia buchnęły z jej powierzchni i otoczyły go. Usłyszał za sobą krzyki mężczyzn i domyślił się, że w ich oczach musi teraz przypominać żywą pochodnię. Banda głupców, pomyślał i ruszył przed siebie, pozwalając, by lava pochłonęła go całkowicie. Zamknął oczy, ale niewidzialna siła rozwarła powieki. Do uszu, ust i nosa wdierały mu się płomienie, które drażniły i zaczęły go piec. Czyżby tak miał wyglądać jego koniec? Czuł strach i gdyby mógł, to sam zacząłby krzyczeć. Ogień dusił go i szybko rozchodził się po ciele. Kiedy dotarł do mózgu, doświadczył potwornego bólu, który narastał i oślepiał. Stracił grunt pod stopami, ale rozżarzona lava nie pozwalała mu się wyrwać, niosąc go i powoli trawiąc w piekielnej gorączce. Myślał, że to koniec i pomimo paraliżującego bólu, ogarniał go gniew. Wręcz kipiał ze złości. Przed sobą widział obraz kobiety, która

podstępnie zwabiła go w sam środek piekła. Umrze, mając jej postać przed oczami. Niech to szlag!

Zacisnął pięści i pomimo, że usta miał wypełnione ogniem, wrzasnął przeraźliwie. Wymacał palcami rękojeść miecza i wyciągnął go z impetem. Uchwyt wciąż palił w skórę, ale w porównaniu z bólem, który odczuwał, był tylko delikatnym ukłuciem.

– Nie zginę w ten sposób!!! – zawołał niskim, ochrypłym głosem.

Poprzez szalejący dźwięk żywiołu, przedarł się cichy, szaleńczy śmiech. Coś przebiegło z lewej strony i musnęło jego skórę. Instynktownie odskoczył w tył i ciął mieczem. Pod stopami zaczął wyczuwać twardy grunt, lecz płomień wciąż przesłaniały mu widok i wywoływały na ciele nieznośny ból. Mimo niedostatecznej widoczności, wiedział, że jest obserwowany. Nie potrzebował oczu, by stwierdzić, że w szalejącym żywiole nie jest uwięziony całkowicie sam.

– Pokaż się! – wykrztusił, a płomień momentalnie przez otwarte usta wdarły mu się do gardła.

Kolejny wybuch śmiechu dotarł do jego uszu.

– Sssploniesz tu! – rozległ się piskliwy wrzask.

Balmor zmrużył oczy, zaskoczony niespodziewaną odpowiedzią. Coś zaczęło się zmieniać. Płomień rozrzedziły się. Dostrzegał niewyraźne, rozedrgane kształty. Czuł, jak co najmniej setka par ognistoczerwonych oczu wpatruje się w niego. Ruszył przed siebie, ale stopy z ogromnym trudem odrywały się od podłoża. Jego ciało wydawało mu się powolne i ociężałe. Ostrze miecza, który trzymał w ręku, wbiło się w ziemię. Próbował je unieść, lecz bez skutku.

- Co się, do cholery, dzieje?!

- Jesteś słaby i powolny! Zjemy cię!

Pojedynczy kształt oderwał się od grupy i zaatakował. Balmor uchylił się przed pierwszym ciosem, ale kiedy z ogromnym wysiłkiem próbował skontrolować, w prawej ręce poczuł piekący ból. Dwa ostre kły zatopiły się w jego skórze.

- Niech cię szlag! - warknął starzec, wrywając rękę. - Wiesz, kim ja jestem?!

Stwór zamruczał i zachichotał. Jego postać wciąż była rozmazana, ale bez trudu można było dostrzec parę płonących, kocich ślepi.

- Jesteś pysznym obiadkiem - odparł stwór, oblizując się długim jęzorem.

Balmor zaklął. Nie miał zamiaru skończyć jako czyjś posiłek. Jak w ogóle mogło do tego dojść? Czemu Pan go opuścił?

Z trudem podniósł w górę miecz. Nie czuł nic prócz wściekłości, dodającej mu sił. Jak ta pokraka w ogóle śmiała rzucić mu wyzwanie?! Był najpotężniejszym ze wszystkich ludzi.

- Pan Ognia na mnie czeka! Przejdę po waszych truchłach! - warknął i splunawszy na ziemię, zaatakował.

Jego wzrok znacznie się wyostrzył. Rękojeść miecza i liżące jego ciało płomienie, wciąż sprawiały ból, ale ignorował go. Ciął pierwszego stwora, który zaskoczony szybkością swojego przeciwnika, nie zdołał uniknąć ciosu. Rozległ się piskliwy wrzask. Rozpołowiony potwór zamienił się w kupkę popiołu. Balmor wybuchnął śmiechem.

- Tylko na tyle was stać?! - zawołał i niespodziewanie odrzucił miecz. Jego straszliwe, pozbawione litości oczy

wychodziły z orbit, a w kącikach ust pieniała się ślina. – Rozszarpię was gołymi rękami.

Z szaleńczym śmiechem ponowił atak. Tłum demonicznych istot zawahał się, zaskoczony naporem osamotnionego wojownika. Z dłoni Balmora wystrzeliły dwie potężne kule ognia, momentalnie zamieniając w pył grupę przeciwników.

– Twój upór nie ma sensu – odparł jeden ze stworów, w którego głosie dało się jednak wyczuć nutę paniki. – Ssą nas legiony.

Na twarzy Balmora pojawił się groźny uśmiech. W oczach płonęła żądza krwi.

– Nie zdajesz sobie sprawy, stworze, jak długo czekałem na podobną walkę. To przeklęte miejsce zasieję waszymi truchłami! Zapłacicie za zdradę!

– Nie ssłużymy tobie, lecz Panu. Nie zdradziliśmy!

– Przeklęte durnie!! Jestem arcykapłanem i prawą ręką naszego Pana! Winnicie mi posłuszeństwo!

Jego słowa sprawiły, że rozległ się odległy, męski śmiech. Śmiech, który sprawił, że demony zamilkły, sparaliżowane strachem i rozpierzchły się czym prędzej, a płonący wokół ogień zgasł.

Balmor wyprostował się i rozejrzał wokół siebie. Inaczej wyobrażał sobie królestwo swego Pana. Ziemia drżała pod jego stopami, jakby w każdej chwili miała zamienić się w wielkie morze lawy. Powietrze pachniało siarką, paliło w płucach i było w nim stanowczo za mało tlenu, by przeżyć. O dziwo, miejsce to nie było totalnym pustkowiem. Otaczały go rośliny, które przerażały i były jednocześnie piękne na swój sposób. Smoliste

drzewa o fantastycznie poskręcanych konarach pozbawione były listowia, zamiast którego na gałęziach tliły się tysiące niewielkich płomyków. Wysoka, sięgająca kolan trawa była w kolorze miedzianym, a jej ostre liście pięły się ku górze, jak miriady ostrych spiżowych sztyletów.

– Czujesz zawód? – rozległ się głos za jego plecami. Zabrzmiał on dziwnie. Z pewnością nie należał do dorosłego mężczyzny, lecz młodzieńca.

Starzec obrócił się, zbity z tropu. Jeszcze nie zdarzyło się, by ktoś zdołał go zająć od tyłu, nie wydając żadnego dźwięku. Kiedy spojrział na oblicze przybysza, zamarł i opadł z jękiem na kolana. Schylił głowę, nie odważywszy się spojrzeć kolejny raz w jego twarz.

– Nie tego się spodziewałeś – powiedział spokojnie młody mężczyzna. – Patrz, gdy do ciebie mówię!!

Balmor zadygotał. Nigdy naprawdę nie czuł lęku, ale sama obecność tej istoty sprawiła, że obudziły się w nim najgorsze koszmary. Często wyobrażał sobie moc Pana Ognia, lecz to, co doświadczał teraz, nie dało się z niczym innym porównać. Z pewnością nie miał do czynienia z człowiekiem. Te jego oczy były niczym dwa małe słońca, które spaliłyby go, gdyby ośmielił się jeszcze raz w nie spojrzeć.

– Wybacz mi, Panie – wydusił z siebie, nie podnosząc głowy.

– Wybaczyć? Cóż miałbym ci wybaczać, starcze? Jeśli masz na myśli twe słowa o przeklętym miejscu, który tak się składa, że jest obecnie mym domem, to wiedz, że nie czuję się urażony. Rozbawiłeś mnie. Jedyne czego nie znoszę i nigdy nie wybaczę to tchórzostwo. Dlaczego jesteś tchórzem, starcze?

Balmor zagryzł wargi, siląc się na spokój. Nikt nigdy nie

nazwał go tchórzem!

– Nie jestem nim – rzekł cicho, wpatrzony w gołe stopy swego rozmówcy.

– Doprawdy? Dlaczego w takim razie boisz się zaufać swemu Panu i podważasz jego decyzje?

– Ufam ci, Panie i nigdy nie podważyłem twej decyzji! – odparł stanowczo, prawie krzycząc. – Nie wiem, o czym mówisz.

Pan Ognia uśmiechnął się drwiąco i dotknął palcem czoła Balmora. Starzec wzdrygnął się. Zamiast ognia poczuł lodowaty dotyk, który przeniknął przez skórę i czaszkę, przesywając jego umysł. Dostrzegł przed oczami obrazy i postacie. Jego czyny jak na przyspieszonym filmie przemknęły w myślach.

– Jak widzisz, nie zawsze byłeś mi posłuszny. Często postępowałeś zbyt pochopnie. Zabójstwo króla było zupełnie niepotrzebne.

– Przecież uradowała cię jego śmierć.

Ziemia pod ich stopami niebezpiecznie zadrżała. Bóg Ognia zacisnął pięści i zrobił powolny krok w stronę starca. Wokół nich buchnęły gejzery lawy.

– Czy wyglądam na zadowolonego? – powiedział spokojnie i cicho, ale w jego słowach czaiła się groza. – Inaczej to zaplanowałem. Król o słabym umyśle szybko dostałby się pod me władanie, a jego armia stałaby się niezwykle pożyteczna...

– Ta banda nieudaczników?! Jeden kapłan jest wart więcej niż setka tych kundli!

Mężczyzna wykonał delikatny ruch ręką, a Balmor z krzykiem zwinął się z bólu.

– Nie wiesz, z kim masz do czynienia? Jak śmiesz mi

przerywać? Zapominasz o mej mocy, starcze. Z łatwością mógłbym zamienić tę, jak ich nazwałeś, bandę nieudaczników, w całkiem silną i użyteczną armię. Twoja głupota wszystko zniweczyła. Nie potrafiłeś nawet pojmać jednego chłopca, który niewiele brakowało, a spuściłby ci lanie. Na twoje szczęście ten błąd można łatwo naprawić, bo dzieciak sam znajdzie do mnie drogę...

Balmor jęknął, z trudem łapiąc powietrze. Czuł w ciele miliony maleńkich igieł, a jego nerwy wciąż płonęły.

– Wiesz, po co cię wezwałem, starcze? Dlaczego nie przemówiłem do ciebie bezpośrednio, lecz przez kobietę?

– Chciałeś mnie ukarać, Panie.

Pan Ognia zaśmiał się i niespodziewanie wyciągnął ku starcowi rękę.

– Ukarać, powiadasz? Mógłbym to zrobić bez spraszania cię tutaj.

Balmor spojrzał na rękę mężczyzny i z wahaniem ujął ją. Zamknął powieki, spodziewawszy się kolejnej fali bólu, ale nic takiego się nie wydarzyło. Poczuł szarpnięcie, a po chwili już stał na chwiejnych nogach.

– Jak myślisz, dlaczego wybrałem kobietę na kapłankę?

Starzec pokręcił głową. Nawet teraz, gdy jego Pan mówił o Rie, czuł, jak wzmagą w nim gniew. Mężczyzna bezbłędnie odczytywał jego emocje, bo uśmiechnął się drwiąco i rzekł:

– Właśnie dlatego – by wywołać w tobie gniew.

Balmora zaskoczyły jego słowa. Już miał zamiar podnieść głowę, by spojrzeć w twarz swego Pana, gdy opamiętał się i ponownie utkwiał wzrok w jego stopach.

– Ty tchórze! Nawet nie masz odwagi na mnie spojrzeć! – Pan Ognia podniósł dłoń i zacisnął ją w pięść. Pokusa, by ukarać poddanego była silna, ale musiał pamiętać, że zbyt pochopne jej użycie może się skończyć nagłą śmiercią. Jeszcze potrzebował tego człowieka.

– Chcesz mnie zabić, Panie?

Mężczyzna westchnął. Jego usta wykrzywiły się w grymasie gniewu. Otaczają mnie sami głupcy, pomyślał, pilnując się, by nie zamienić zgrzybiałego starca w kupkę popiołu. I kogoś takiego miał zamiar obdarować potężną mocą! Odrobina pecha i sam się unicestwi.

– Czy słuchałeś, durniu, tego, co wcześniej mówiłem? Naprawdę coraz bardziej żałuję, że cię tutaj ściągnąłem. Może powinienem był wybrać tamtą kobietę?

Balmor zaklął pod nosem.

– Ta kobieta przynosi nam hańbę! Zabiję ją, jeśli jeszcze raz splami nasze dobre imię!

– Zabijesz ją, jeśli ci pozwolę, a nie pozwalam. Cieszę się, że wywołuje w tobie taki gniew. Dopilnuję, by częściej ci towarzyszyła.

– Dlaczego mi to robisz, Panie? Nienawidzę jej!

– Nienawiść daje ci siłę, a twoja siła, Balmorze, będzie mi wkrótce potrzebna. Nadchodzi wojna, która zmieni oblicze świata. Samotny król Płonącej Góry słabnie. To idealny moment na atak.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał starzec, wstrzymawszy oddech. Nagłe podniecenie sprawiło, że zupełnie zapomniał o Rie i towarzyszącym mu przed chwilą gniewie.

Czyżby miały się w końcu ziścić jego marzenia?

– Obróć Płonącą Górę w perzynę. Zabij wszystkich. Niech rzeka lawy zamieni się w rzekę krwi.

Balmor oblizał spierzchnięte wargi, które wygięły się w szaleńczym uśmiechu. Właśnie tego pragnął.

– Zrobię wszystko, co w mej mocy, by tak się stało!

Pan Ognia prychnął.

– Twa obecna moc na niewiele się zda. Mam dla ciebie dar, ale nie jest to dar dla tchórza, który boi się spojrzeć w me oczy.

Starzec przełknął ślinę i podniósł głowę. Ujrzał pełen triumfu uśmiech młodzieńca, a jego oślepiające oczy sparaliżowały go. Poczuł ogień. Ziemia zatrzęsała się pod jego stopami, a z siatki pęknięć wypełzły długie języki ognia. Po chwili dwa płomyki niczym węże zaczęły owijać się wokół jego stóp i piąć ku górze.

– Pozwól, by ogień cię pochłonał. Poprowadzisz moją armię do zwycięstwa.

Balmor słuchał go, przez cały czas wpatrując się w jego oczy. Czuł potworny ból, ale nie krzyknął. Skóra na jego ciele zaczęła topić się i pękać. Mięśnie gwałtownie nabrzmiały, a kończyny wygięły się nieproporcjonalnie i rosły. Nie zwracał na to uwagi do chwili, gdy Pan, którego mocą przez cały czas się upajał, zaczął maleć w jego oczach. Był już wyższy o głowę, a mimo to wciąż nie przestawał rosnać. Po chwili stracił równowagę i upadł. Wstrząsały nim dreszcze. Po raz pierwszy wydał z siebie przeraźliwy krzyk, który szybko zamienił się w niski, głuchy warkot.

– Powstań – rozkazał bóg, na którego ustach wykwitł podstępny uśmiech.

Balmor posłuchał. Świat wydał mu się nagle znacznie mniejszy. Spojrzał z góry na boga, który był w tej chwili wielkości skrzata.

– Co się ze mną stało? – zapytał ochryplym rykiem, z fascynacją wpatrzywszy się w swoje dłonie, które zamieniły się w podłużne szpony.

– Zapomnij o starcu, którym byłeś. Dziś narodziłeś się na nowo.

– Czym ja się stałem?

Jego ciało było zupełnie obce. Kiedy oderwał wzrok od szponów, stwierdził, że transformacja poza wzrostem i wyglądem rąk, dokonała znacznie poważniejszych zmian. Wyczuwał, jak po ziemi wije się długi czarny ogon, który łączy się bezpośrednio z jego krzyżem, a między łopatkami wyrastają dwie dodatkowe kończyny. Poruszył nimi i wyprostował je. Jego oczom ukazały się spiczaste, krwawo-czarne skrzydła.

– Zagładą, która spadnie na ludzi. Czy jesteś gotów ponieść to brzemie?

Balmor oblizał wargi długim jęzorem.

– Z rozkoszą je poniosę! – ryknął i pełen żądy mordy wzbił się w powietrze.

Yormudhal

Minęło sześć długich dni od czasu przybycia Aleksa z przyjaciółmi do podziemnego miasta. Dla chłopaka były to ciężkie dni i tylko dzięki wsparciu ukochanej Samiry z trudem je

znosił.

– Co się z nim dzieje? – zapytał po raz kilkunasty, nerwowo przechadzając się po ciasnej, sypialnej komnacie.

Wysoka kobieta spojrzała wymownie w sufit.

– Nie mamy pojęcia. Wygląda, jakby zapadł w głęboki sen, z którego nie może się obudzić. Badało go trzech medyków i żaden z nich nie stwierdził niczego niepokojącego.

– Niepokojące jest to, że wciąż się nie obudził! – warknął, obrzuciwszy kobietę nieprzychylnym spojrzeniem.

Nie mógł jej polubić, pomimo tego że od ich ostatniej potyczki dziewczyna przynajmniej próbowała się odnosić do niego przyjaźnie. Aleks jednak wciąż pamiętał, jak upokorzyła go podczas jego pierwszej wizyty w podziemnym mieście. Na imię miała Frey'a i była jedną z sześciu wyśmienitych wojowniczek, należących do Dwunastki. Jej smukłe, wysportowane ciało i tężyzna budziły zachwyt i zazdrość nie tylko wśród kobiet, lecz także mężczyzn. Aleks z rozdrażnieniem musiał pogodzić się z faktem, że posturą wypada przy niej bardzo blado.

– Przywrócenie do życia twojej ukochanej kosztowało naszego pana wiele sił – odparła, kładąc szczególny nacisk na słowo ukochanej.

– Nie obwiniaj jej o to! Nie prosiła się, żeby ją uwięziono wewnątrz naszyjnika!

Miał dosyć tej kobiety. Jeszcze jedno prowokujące słowo z jej strony, a go popamięta. Położył dłoń na rękojeści miecza, czując, jak wzbiera w nim złość. Frey'a prychnęła pogardliwie, a w jej szarych oczach zapłonęły groźne iskry.

– Myślisz, że jeśli raz udało ci się mnie pokonać przez te

swoje sztuczki i zaskoczenie, to drugi raz się na nie nabiorę? Nie masz pojęcia o prawdziwej walce. Walczysz chaotycznie, pod wpływem gniewu i bez żadnej taktyki. Nie jesteś wojownikiem tylko dzieciakiem, posiadającym dziwną moc, której sam nie rozumie. Ktoś taki jak ty nie powinien jej posiadać. Jesteś wadliwą pomyłką, która zagraża nie tylko sobie, ale wszystkim, walczącym po jej stronie!

Aleks gwałtownie wyszarpnął z pochwy miecz.

– Powtórz to!

Frey'a uśmiechnęła się złowieszczo i wyciągnęła swój dziwaczny oręż o lodowym ostrzu. Wnętrze komnaty momentalnie ogarnął chłód.

– Jesteś wadliwą pomyłką – powiedziała, przyjmując pozycję bojową.

Aleks oderwał stopę od podłoża, gotowy do ataku, gdy niespodziewanie otwarły się za nim drzwi.

– Co tu się znowu dzieje?! – syknęła Samira, obrzuciwszy ich spojrzeniem pełnym złości i zrezygnowania. – Nie można was zostawić samych nawet na pięć minut.

– To ona zaczęła! – zawołał Aleks, wciąż gotowy do ataku.

– Cicho bądź – podeszła do niego i wyrwała mu miecz z ręki.

Aleks spojrzał na nią spode łba i skrzyżowawszy ręce na piersi, oparł się o krawędź łóżka. Jego dziadek leżał pogrążony w błogim śnie, nie świadom rozgrywającej się w sypialni awantury. Jak na władcę Yormudhalu, Gajarin mieszkał bardzo skromnie. Komnata sypialna była jedną, litą, chropowatą skałą, pozbawioną ozdób. Proste, drewniane i z pewnością niewygodne łóżko zajmowało większość miejsca. Pomieszczenie znajdowało

się na najniższym poziomie pałacu, głęboko pod ziemią, z racji czego nie posiadało okien, a ciemność rozświetlał jedynie błękitny płomień, bijący ze stalowego żyrandola, który wisiał nisko nad ich głowami. Aleksowi od samego początku nie podobało się to miejsce. Było obskurne i zupełnie odmienne od przepychu, znajdującego się kilka poziomów wyżej. Dlaczego jego dziadek dobrowolnie skazywał się na tak okropne miejsce? Jako władca powinien leżeć w królewskim łożu z dostępem do wszystkich wygód i przede wszystkim słonecznego światła i świeżego powietrza. Tutaj panował straszliwy mrok i zaduch, który wystarczył, by się rozchorować. Jak w takim razie dziadek miał odzyskać zdrowie?

Samira stanęła obok, obserwując minę chłopaka. Jej również nie przypadło do gustu to miejsce, ale przestała już głośno wyrażać swoje niezadowolenie. Kolejna awantura z Dwunastką nie miała sensu. Ona to wiedziała, lecz Aleks nie.

– Musimy go stąd zabrać – powtórzył chłopak zdanie, które wypowiadał od pierwszego dnia ich pobytu tutaj.

Samira westchnęła i dotknęła jego ramienia. Otworzyła usta, ale to Frey'a odezwała się pierwsza.

– Rozmawialiśmy na ten temat już setki razy i nie chcę znowu do tego wracać. Gajarin nie zgodziłby się, by go stąd zabrano. Tu jest jego miejsce.

– Ta zatechła dziura? A może byłoby ci na rękę, gdyby mój dziadek umarł? Dlatego nie chcesz go stąd zabrać!

Samira jęknęła, spodziewając się kolejnego wybuchu Frey'i. Ona jednak rzuciła tylko Aleksowi nienawistne spojrzenie i podeszła do drzwi.

– Kiedyś pożałujesz tych słów. Przez te wszystkie lata był dla

nas jak ojciec, a my byliśmy jego dziećmi. W twoich żyłach nie ma ani krzty jego krwi, więc nie masz prawa nazywać go dziadkiem! Jesteś obcym, którego przygarnął i tym samym popełnił wielki błąd. Nie chcę cię więcej oglądać na oczy i przysięgam, że jeśli jeszcze raz obrazisz moją rodzinę lub dom, to cię zabiję.

Wyszła, trzaskając drzwiami. Aleks teatralnie wypuścił z ust powietrze.

– W końcu się jej pozbyłem. Od samego rana tu siedziała.

Samira zmarszczyła czoło i pokręciła z dezaprobatą głową.

– Czasami naprawdę jesteś głupi.

Aleks nachmurzył się i dotknął dłonią czoła dziadka. Znów odniósł wrażenie, że jest ono stanowczo za zimne.

– Nie chcę, żeby zmarł w tym miejscu. Sam czuję się tutaj źle, więc jakim cudem jemu ma się poprawić?

Dziewczyna przytuliła go delikatnie i oparła głowę na jego ramieniu.

– Wiem, co czujesz, ale powinieneś bardziej uważać na swoje słowa. Niepotrzebnie robisz sobie wrogów.

– Wcale nie muszę sobie ich robić. Poza tobą wszyscy mnie tutaj nienawidzą, ale nie obchodzi mnie to. Nie po to odnalazłem dziadka i przeszedłem przez to wszystko, żeby teraz go stracić.

Samira obserwowała śpiącego starca i wciąż miała mieszane uczucia wobec niego. Nigdy nie wybaczy mu krzywdy, którą jej wyrządził. Zmarszczyła czoło i zapytała:

– Dlaczego Frey'a nazwała cię obcym?

Wzruszył ramionami. Nie zastanawiał się nad jej słowami. Był

zbyt wściekły, by dotarł do niego ich sens. Ale teraz... Czy to możliwe, że ze starcem, którego od zawsze uważał za dziadka, nie łączyło go żadne pokrewieństwo? Już nic nie mogło go zdziwić, ale gdyby jej słowa okazały się prawdą, nie miałby żadnego członka rodziny.

– Myślę, że po prostu chciała mnie urazić i jej się to udało – odparł niezbyt przekonująco.

– Wszystkiego dowiemy się dopiero wtedy, gdy on się zbudzi. Aleks westchnął i chwycił ją za rękę.

– O ile się zbudzi.

Samira nic nie odpowiedziała, tylko ścisnęła mocniej jego dłoń. Śpiączka starca nie tylko jej wydała się tajemnicza. Jak to możliwe, że najpotężniejszy człowiek w Yormudhalu, którego obawiał się nawet Ar-khan, opadł z sił po zdjęciu jednego zaklęcia? Był starszy niż ktokolwiek, kogo znała, ale jego moc do tej pory była niepodważalna. Możliwe, że nigdy nie poznają prawdy. Czas nieubłaganie upływał, a starzec od sześciu dni nie przyjmował żadnych pokarmów ani nic nie pił. Nieważne jak bardzo wyjątkowym jest człowiekiem, nawet on długo nie pożyje na samym powietrzu.

– Musimy już iść – rzekła w końcu.

Aleks skrzywił się i puścił jej rękę. Nie miał ochoty się stąd ruszać.

– Idź sama i tak nie jestem tam mile widziany.

– Aleksie, nie możesz cały czas tutaj siedzieć. W ten sposób mu nie pomożesz. Na pewno chciałby, żebyś wziął udział w obradach. W królestwie panuje zamieszanie, bo nikt nie spodziewał się, że jego władca nagle zaniemoże. Nie wiadomo

też, co począć ze stworami zrodzonymi z żelaza. Część z nich uciekła, niektóre wyglądają na martwe, a wielki Grzmogrot sieje w górach spustoszenie. Wczoraj znaleziono w jego gnieździe kolejne trzy martwe ciała. Nikt nad nim nie panuje. Musimy w końcu podjąć jakieś decyzje.

– Dwunastka też nad nim nie zapanuje. Nie obchodzi mnie ich królestwo. Chcę jedynie odzyskać dziadka.

Samira przytaknęła ze zrezygnowaniem. Wiedziała, że nie da się przekonać.

– Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Uważaj na siebie. Nie ufam tym ludziom.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieznacznie i odsłoniła szylet, schowany za tuniką.

– Dlatego zawsze noszę go przy sobie. – pocałowała go w policzek i wyszła z komnaty.

Aleks pokręcił ze zrezygnowaniem głową i ponownie usiadł na łóżku. Od kiedy Samira odzyskała swoją postać, martwił się o nią o wiele bardziej. Teraz nie nosił jej zawieszoną na szyi i nie zawsze była w pobliżu. W razie zagrożenia, może nie zdołać jej obronić. Przez chwilę wahał się i już był zdecydowany pójść za nią, ale po chwili zrezygnował z tego zamiaru. Czuł, że powinien pozostać blisko dziadka. Od sześciu dni większość czasu przebywał w tym pomieszczeniu, ale jeszcze ani razu nie zdarzyło się, by został z nim sam na sam. Położył dłoń na dłoni dziadka i lekko ścisnął. Była zimna pomimo gorączki, jaka tutaj panowała. Westchnął i spojrzał w jego twarz. Skóra miała błądy odcień, a szczękę porastał niewielki zarost, lecz wciąż w tym obliczu bez trudu mógł dostrzec postać ze swojego dzieciństwa. Dziadek niewiele się zmienił. Wyglądał, jakby nie postarzał się

o nawet jeden dzień. Czas pewnie od bardzo dawna był dla niego niezwykle łaskawy. Nie wyglądał na chorego, dlaczego więc wciąż się nie budził?

Wrócił myślami do Samiry. Nie zazdrościł jej rozmów z Dwunastką. Dziewczyna była od niego bardziej zaradna i elokwentna, ale nie sądził, by te rozmowy przyniosły jakieś rozwiązanie. Jeśli jego dziadek się nie obudzi, Dwunastka sama dokona wyboru nowego władcy, oni nie muszą się do tego mieszać. Wyjadą przy pierwszej okazji i wrócą do Antaresu, bądź wyruszą dalej na południe.

Wzdrygnął się, gdy niespodziewanie poczuł delikatny uścisk na swojej dłoni. Spojrzał na nią i zauważył, że palce dziadka nieznacznie się poruszyły. Wstrzymał na chwilę oddech, czując, jak gasnący płomyk nadziei, znów się rozpała.

– Dziadku? – wyszeptał, delikatnie go szturchając.

Jego powieki wciąż były zamknięte, ale dostrzegł lekkie drżenia na ich powierzchni. Palce starca znów się poruszyły, po czym zacisnęły się na jego dłoni. Aleks próbował krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle. Poczuł gwałtowne szarpnięcie w okolicach klatki piersiowej, a obraz komnaty i dziadka nagle zniknął.

Znalazł się w niekończącej się próżni. Próbował otworzyć oczy i przeniknąć wzrokiem ciemność, ale stwierdził, że nie ma już oczu. Znów był jedynie myślą, a jego ciało pozostało w tamtym świecie.

– Nareszcie! – rozległ się w oddali dobrze mu znany głos.

Aleks czuł, jak rozpiera go radość. Wiedział już, co zrobić, by odzyskać ciało, bo przecież znał to miejsce. Skupił swoje myśli i po prostu wyobraził je sobie.

– Długo musiałem czekać – rzekł dziadek, jednak bez cienia wyrzutu.

Chłopak poczekał, aż jego niematerialne ciało się uformuje. Niełatwo było się do niego przyzwyczaić, choć pozwalało ono na znacznie więcej od prawdziwej cielesnej powłoki. W tym miejscu nie było żadnych ziemskich ograniczeń. Powoli uniósł powieki, mrużąc je, mimo że nie było takiej potrzeby. Intensywna światłość wcale nie oślepiła. Na jego ustach wykwitł uśmiech. Przed nim stał dziadek.

– Dlaczego znowu znajdujemy się w tym miejscu? – zapytał zaniepokojony, widząc smutek w jego oczach.

– Niewiele czasu mi zostało, Aleksie. Na szczęście wciąż mam go dostatecznie dużo, bym ci wszystko wyjaśnił. Usiądźmy – odparł, wskazując na dwa skórzane fotele, które wyrosły z nicości.

Chłopak mimo niepokoju, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Jakim cudem?

Dziadek puścił do niego oko i usadowił się w miękkim fotelu. Jego krótkie nogi zawisły w powietrzu.

– Jest tak wiele spraw, których nie zdążyłem ci jeszcze wyjaśnić. Zanim odejdę musisz się dowiedzieć.

Aleks przełknął ślinę i pokręcił głową.

– Nie możesz odejść!!

Starzec wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu chłopaka.

– Wiem, że nie wszystko poszło po mojej myśli, lecz na niektóre rzeczy nie miałem wpływu. Nawet ja nie potrafię powstrzymać własnej śmierci.

– Dlaczego właśnie teraz?! Moją śmierć udało ci się

powstrzymać! Jesteś najpotężniejszą istotą, jaka chodzi po tej krainie, nie możesz umrzeć!

- Żyję znacznie dłużej, niż możesz sobie wyobrazić, chłopcze. Proszę, uspokój się i pozwól mi wszystko wyjaśnić, bo nie mamy wiele czasu.

Aleks niechętnie opadł na oparcie fotela. Na pewno nie pozwoli mu odejść! Dziadek uciął na chwilę, niepewny czy znowu mu przerwie, po czym kontynuował.

- Najwyższy czas, byś poznał prawdę o sobie... Na pewno wiele razy zastanawiałeś się, co stało się z twoimi rodzicami i dlaczego mieszkałeś tak daleko od swojego prawdziwego domu. Prawda może cię zaskoczyć i zszokować, lecz proszę, byś wstrzymał się z pytaniami do czasu aż skończę mówić. Pewnie sam doszedłeś do wniosku po przybyciu do Anary, że Ziemia nie była twoim domem. Urodziłeś się w naszym świecie, lecz twoje narodziny również nie należały do zwykłych - przerwał na chwilę i głęboko westchnął. Na wypowiedzenie kolejnych słów przygotowywał się przez wiele lat, lecz i tak było ciężiej niż przewidywał. - Od samego początku wiedziałem, że będziesz samotny, dlatego starałem się stworzyć ci rodzinę. Prawda jest okrutna, ponieważ... Ty prawdziwej rodziny nigdy nie posiadałeś. Co więcej, nie jesteś nawet człowiekiem, choć przez większość czasu pozostajesz w ludzkiej formie. Z tego wynika, że ja również nie jestem twoim dziadkiem, choć od zawsze traktowałem cię jak wnuka. W takim razie, kim naprawdę jesteś? Nawet teraz mogę jedynie domyślać się twojej prawdziwej natury. Opowiem ci jednak, jak to wszystko się zaczęło... Zanim na dobre osiedliłem się w Podziemnym Mieście, wiele podróżowałem. Anara i Ziemia nie są mi jedynymi

znanymi światami. Odwiedziłem miejsca i wymiary nikomu nieznane, bądź też zapomniane na wieki. Przez bardzo długi czas szukałem wskazówki i odpowiedzi, która pomogłaby raz na zawsze rozprawić się z siejącym popłoch Ar-khanem. Nie znalazłem jej, lecz odkryłem rzeczy, o których wcześniej nawet nie śniłem. Dotarłem do miejsca, które wielu Ziemiaków pewnie nazwałoby piekłem. Musiałbym być jednak bardzo ograniczony, by nie dostrzec jego osobliwego piękna. Była to kraina podobna do innych. Pełna zła i dobroci, okrutna i wroga, lecz potrafiąca być także przyjazna. Jej naturą i siłą był ogień, z którego powstawało wszelkie tamtejsze życie. Ogień bywa bardzo niebezpieczny, lecz postępując ostrożnie, nawet jego można ujarzmić. Poznałem tam istoty, które były naszymi przodkami, ale dawno temu opuściły nasz świat. Nie przypominały ludzi. Były o wiele większe i silniejsze, a przy tym bardzo rozumne. One również nie posiadały rodzin, choć były sobie bardzo bliskie. Zrodził je ogień, który uważały za swoją jedyną matkę. Dużo czasu minęło zanim zdobyłem ich zaufanie, ale kiedy w końcu to mi się udało, wyjawily mi pewien sekret. Powiedziały, że istota, która ogłosiła się w Anarze bogiem i Panem Ognia, pochodzi z czasów, kiedy one panowały w naszym świecie. Były wtedy potężne, ale to właśnie samozwańczy bóg przyczynił się do tego, że opuściły naszą krainę. Już wówczas stanowił poważne zagrożenie, które musiały wyeliminować. Na szczęście udało im się go pokonać i uwięzić głęboko pod ziemią, tak, by nikt go nigdy nie odnalazł. Po tamtym wydarzeniu odeszły, a południe Anary na wieki pozostało bezludne. Nawet najstarsi Anaryjczycy nie znają tej historii, pozostały tylko nieliczne, zmienione przez lata legendy...

– Jaki ja mam związek z tymi istotami? Przecież wyglądam jak człowiek – wtrącił Aleks, nie mogąc się dłużej powstrzymać.

Starzec pokiwał cierpliwie głową.

– Zaraz do tego dojdę. Kiedy poznałem prawdę, poprosiłem Przodków o pomoc, lecz odmówili. Powiedzieli, że na zawsze opuścili nasz świat i nie mogą wrócić ani nie mają prawa się mieszać w nasze sprawy.

– Jak to nie mają prawa się mieszać? Znają doskonale potwora, który terroryzuje nasze ziemie i na pewno znają sposób, żeby go powstrzymać!

– Tak, ale znów nie pozwoliłeś mi skończyć... Powiedzieli, że nie mogą mieszać się bezpośrednio, lecz ofiarowali mi dar, dzięki któremu możemy zwyciężyć.

– Jaki dar? – zapytał chłopak, nie zważając na to, że znowu jest niegrzeczny.

– Ciebie – odpowiedział spokojnie dziadek, uśmiechając się blado. – Powiedzieli, że tylko zrodzony z Ognia i Ziemi raz na zawsze może unicestwić złego boga.

Aleks pokręcił głową. Był coraz bardziej zdezorientowany.

– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale naprawdę należysz do naszych Przodków. Potrafisz nawet przeobrazić się w ich prawdziwą postać, choć twoja przemiana nie dobiegła jeszcze końca.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że istota, w którą przemieniasz się podczas walki, nie osiągnęła jeszcze pełnej formy. Wciąż nad nią nie panujesz. Kiedy metamorfoza dobiegnie końca, będziesz mógł stawić czoła Panu Ognia.

Aleks nic nie odpowiedział. Przecież to było szaleństwo! Co prawda, podczas walki działo się z nim coś niewytłumaczalnego, ale wyjaśnienie starca wcale go nie uspokajało. Wprowadzało jeszcze większy zamęt w jego głowie. Przecież był człowiekiem!

– Aleksie, wiem, że minie sporo czasu zanim pogodzisz się z prawdą, ale wiedz, że byłem z tobą całkowicie szczery. Zrodziłeś się z ognia. Sam widziałem twoje narodziny, ale w twoich żyłach płynie nie tylko krew Przodków. Znajduje się w niej także ludzka cząstka zrodzona za pomocą magii. Moja krew.

– Twoja krew?! – krzyknął z niedowierzaniem, czując mdłości. Starzec skinął głową. Miał ponurą minę.

– Tak, dzięki temu tak niewiele różnisz się od prawdziwych ludzi. To prastara magia. W pewnym sensie jesteśmy dla siebie rodziną.

– To obrzydliwe! Jestem jakimś mutantem, zrodzonym za pomocą czarów!

Samira miała racje co do tego człowieka. Jak w ogóle kiedykolwiek mógł go bronić?!

– Nie będę błagał cię o wybaczenie, chłopcze. Zrobiłem to, co uznawałem za słuszne. Możliwe, że popełniłem błąd, ale musiałem zaryzykować, widząc w tobie cień szansy na zwycięstwo. Wciąż wierzę, że możesz pokonać zło.

Chłopak spojrzał na niego złowrogo, próbując się uspokoić.

– Skąd wiesz, że sam nie stanę się złem? Nie widzisz, ile go we mnie? Czasami już nad sobą nie panuję.

– Nie wiem. Jestem bardzo stary, ale wciąż bardzo mało wiem. Podjąłem jednak decyzję, która albo przyczyni się do

ocalenia naszego świata, albo do jego zagłady.

Gajarin odwrócił głowę, patrząc w dal. Aleks również spojrzął w tamtym kierunku, ale poza intensywnym światłem nie dostrzegł niczego nowego.

– Mój czas się kończy – ciągnął dalej starzec. – Musimy przejść do następnego tematu. Później będziesz miał czas na wątpliwości i przemyślenia. Prawdy jednak nic nie zmieni.

– Czemu ściągnąłeś mnie do tego miejsca? Jak to w ogóle możliwe, że ktoś tak potężny jak ty, stanął na skraju śmierci po rzuceniu jednego zaklęcia?

Starzec splótł ręce i znów rozejrzał się dookoła, błędząc nieprzytomnie wzrokiem. Minęła długa chwila. Aleks pomyślał, że jak na człowieka o bardzo ograniczonym czasie, wcale mu się nie spieszy. Czuł się lekko winny faktu, że teraz zupełnie mężczyzny nie żałował. Był bezlitośnie zobojętniały. W końcu stał się przez niego potworem, a jego ukochana tkwiła w magicznym więzieniu przez co najmniej dziesięć lat!

– Nie tak to wszystko sobie zaplanowałem, choć wiedziałem, że skutki mogą okazać się dla mnie tragiczne. Jak na kogoś, kto przez wieki posiadał ogromną wiedzę, powinienem być bardziej rozważny. To nie jedno zaklęcie odebrało mi moc, ale ich setki, jeśli nie tysiące, rzuconych przez ostatnie dziesięciolecia. Uwolnienie Samiry jedynie przyczyniło się do mojej zguby. Przewidywałem, że może się to skończyć w podobny sposób, ale było już za późno, żeby się wycofać. Mój czas dobiega końca, teraz pora na to, żebyście wy włączyli się do walki.

Aleks prychnął. Jak w ogóle śmiał tego od nich wymagać? Nie byli mu nic winni.

– Nie narażę ponownie Samiry. To nie nasza walka. Jeśli

będzie trzeba, odejdziemy daleko stąd. Wrócimy na Ziemię i zapomnimy o całym tym koszmarze.

- I jesteś pewien, że ucieczka rozwiązałyby wszystkie problemy? Moc Pana Ognia sięga nawet tam. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, bo przecież byłeś już jego ofiarą. Nie uciekniesz przed przeznaczeniem. Chcesz tego czy nie, wkrótce czeka cię starcie z nim.

Aleks zacisnął mocno pięści. Znowu opanowywała go wściekłość.

- Dobrze więc! Wyślę go z powrotem do piekła albo pozabijamy się nawzajem, ale nie pozwolę mu skrzywdzić Samiry.

Starzec skinął głową z poważną miną. Nie uśmiechnął się, ale na jego twarzy widać było ulgę.

- Nie zdążę cię już niczego nauczyć, ale wiem, że z czasem sam wszystko odkryjesz. Dwunastka zawsze będzie ci służyła pomocą...

- Wątpię w to! Nie sądzę, by darzyli mnie sympatią, zwłaszcza Frey'a.

- To uzdolniona i bardzo wierna wojowniczką. Ma trudny charakter, ale bez obaw możesz stawać do niej plecami.

Aleks powstrzymał się przed złośliwym komentarzem. Dobrze poznał już jej trudny charakter i nie był na tyle głupi, by stawać do niej plecami.

- W Yormudhalrze panuje chaos - powiedział chłopak, próbując zmienić temat. - Nikt nie może zapanować nad Grzmogrotem, a cała reszta tych dziwnych stworów rozpierzchła się po tunelach albo w ogóle przestała żyć.

– Niestety ja już nie mogę nad nimi zapanować. Poza mną tylko jedna osoba byłaby do tego zdolna, ale ona nie może przybyć do tego miasta.

– Kim jest ta osoba?

Starzec nie odpowiedział. Jego postać stała się jakby bledsza, prawie przezroczysta.

– Muszę ci zdradzić jeszcze jedną tajemnicę, zanim odejdę – powiedział, z zainteresowaniem wpatrując się w swoje przezroczyście dłonie. – Co wiesz o tak zwanych kamieniach Yormudhal?

– Niezbyt wiele. Więcej sam zaobserwowałem, niż zdołałem się dowiedzieć. Są gorące i bez trudu można nimi rozpalić ognisko. Każdy potwór, którego stworzyłeś, również posiadał w sobie taki kamień. Podobno za ich pomocą można także wytwarzać magiczną broń. Widziałem miecz Frey’i. Jej ostrze było z lodu, a podczas walki jakimś cudem zdołała mnie zamrozić.

– To właśnie działanie mocy jednego z kamieni. Niestety znasz dopiero niewielką część prawdy o tych niezwykłych przedmiotach. Na samym początku muszę cię wyprowadzić z błędu – to nie są kamienie. Nie wiem, czemu tak zaczęto je nazywać, ale doszedłem do wniosku, że dobrze się stało. Większość ludzi widząc przed sobą jedynie mało atrakcyjny kamień, szybko traciła nim zainteresowanie. Jaka jest więc ich prawdziwa natura? O wiele bardziej złożona, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Gdybym sam miał je nazwać, użyłbym raczej określenia dom duszy, choć to też nie do końca prawda, bo wiele z nich pozostaje pusta.

– Dom duszy? – powtórzył chłopak, marszcząc czoło. –

W tych kamińkach niby żyją dusze?

– Tylko w niewielkiej liczbie. Nigdy nie odkryłem, czemu dusze wybierają jedynie te konkretne przedmioty na swoje siedliska ani, czemu w ogóle decydują się na takie ograniczenie. Powinny być wolne, niespętane, a jednak wolą egzystować w tak niewielkich pomieszczeniach. Najważniejszą rzeczą jest także fakt, że nie znajdziesz duszy w tym tak zwanym *kamieniu*, porzuconym z dala od ludzkich siedlisk. One lubią ludzkie towarzystwo.

– Kiedyś Samira znalazła dwa takie *kamienie* u wylotu jednego z tuneli...

– Z pewnością były puste. Obecnie wystarczy mi jedynie rzut oka, by stwierdzić czy w *kamieniu* mieszka dusza.

– Nie poprzestałeś jednak na zwykłym badaniu owych domów dusz. Musiałeś zacząć nad nimi eksperymentować – rzucił oskarżycielsko chłopak. – W inny sposób nie powstałyby te wszystkie potworne stworzenia ani dziwne bronie.

– To prawda, choć robiłem to na ich prośbę.

Chłopak prychnął z pogardą. Starzec coraz bardziej zaczynał majaczyć.

– Tylko mi nie mów, że uciałeś sobie pogawędkę z duchami.

Starzec doskonale wyczuwał złość i sarkazm w głosie Aleksa.

– Popełniłem wiele błędów, ale pomogłem przynajmniej kilku zagubionym duszom. Nie wszystkie powracające na ziemię dusze są złe, większość z nich po prostu zboczyła z wyznaczonej ścieżki. Niektóre wracają na chwilę, inne na dłużej, ale każda z nich ma jakiś cel.

– Celem twojego kryształowego ptaka jest chyba

wymordowanie wszystkich ludzi.

– Na Ziemię nie powracają wyłącznie ludzkie dusze. Każde żywe stworzenie posiada niematerialną powłokę. Dusza Grzmogrota z pewnością nie należy do człowieka, dlatego nie zachowuje się jak człowiek. Ja już niestety nie mogę nad nim zapanować. Ty musisz to zrobić.

– No chyba żartujesz! Jeszcze życie mi miłe.

– Posłuchaj, Aleksie! – zagrział z powagą i na chwilę urwał. Jego postać zamigotała. Bez trudu można było teraz przez nią dostrzec oparcie fotela. – Bardzo ważne jest, by nad nimi zapanować. One nie mogą wymknąć się na zewnątrz. W złych rękach byłyby straszliwą bronią.

– Trzeba było ich w ogóle nie ruszać. Wszystko znowu na mojej głowie!

Gajarin puścił jego słowa mimo uszu i kontynuował.

– Są jeszcze dwie bardzo ważne sprawy... Olbrzymi *kamień*, który znajduje się w sali tronowej należy do niezwykle potężnej duszy. Nigdy nie udało mi się z nią porozmawiać, ale domyślam się, do kogo należy ta dusza. Musisz spróbować do niej dotrzeć.

Aleks już otwierał usta, by ponownie zaprzeczyć, ale starzec nie dał mu dojść do słowa.

– Drugą bardzo ważną sprawą jest, byś nie dopuścił... by... – urwał, ponownie rozglądając się tym razem ze strachem w oczach. Każde słowo przychodziło mu z coraz większym trudem. – Kobieta, o której wspominałem...

– Jaka kobieta?

– Ona ma wielką moc, ale nie może... – głos zamarł mu w gardle, a jego postać na chwilę całkowicie zniknęła – Nie

pozwól, by...

Aleks też był coraz bardziej wystraszony. Mimo złości, którą czuł wobec tego człowieka, wciąż nie mógł zapomnieć, że przez wiele lat był dla niego najważniejszą w życiu osobą.

– Chodzi ci o Frey'ę? Nie pozwolę, by się do czegokolwiek...

– Nie o Frey'ę! Chodzi o moją... żonę! Ona nie może... – z jego ust zamiast słów wydobył się przeraźliwy krzyk.

– Nie odchódź! – zawołał Aleks, próbując chwycić starca za rękę.

Było już jednak za późno. Postać potężnego Gajarina rozplynęła się w nagłym wybuchu białego światła, a ostatnią rzeczą, jaką ujrzał chłopak na jego twarzy, był strach.

Koniec Wersji Demonstracyjnej